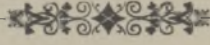


# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[31]



KOŚCIÓŁ W LORECIE (str. 501).

## POZWÓLCIE DZIATKOM PRZYCHODZIĆ DO MNIE!

Dawno, o dawno! kiedy po ziemi  
 Chodził Pan Jezus z uczniami swemi,  
 I leczył chorych, smutnych pocieszał,  
 Wspomagał biednych, winnych rozgrzeszał,  
 Uczył, jak żyć nam na ziemi trzeba,  
 By się tém życiem dokupić nieba!.....  
 Razu pewnego wracał strudzony  
 Z uczniami swymi z dalekiej strony,  
 I usiadł sobie w miłym drzew cieniu,  
 Aby po ciężkiem spoczął zmęczeniu.  
 (A bardzo, bardzo kochał On dziatki),  
 Więc na wieść o tem, radośne matki  
 Z dziećmi swojemi przybiegły żywo,  
 Cześć Mu w tę chwilę oddać szczęśliwą,  
 Pragnąc, aby je chociaż obaczył  
 I słowem łaski obdarzyć raczył!.....

Ale uczniowie siedzący w koło,  
 Widząc, jak Jezus schylone czoło  
 Oparł na dłoni, strzedz umyślili  
 Spoczynku Jego kosztownej chwili;  
 Więc zabraniając z Panem rozmowy,  
 Rzekli do niewiast ostre słowa:  
 „Idźcie! czyż niedość On się utrudzi,  
 Dla tylu, tylu niewdzięcznych ludzi!  
 By po tej pracy ciężkiej, niemaliej,  
 Dzieci mu jeszcze spocząć nie dały?  
 Idźcie! zbyt drogie są Mistrza słowa,  
 I nie dla Niego z dziećmi rozmowa,  
 Idźcie!“... Na taki wyrok surowy,  
 Smutnie ku ziemi zwiesiwszy głowy,  
 Już miały odejść w cichój pokorze,  
 Kiedy głos Pana zabrzmiał niezłomnie:  
 „Tych jest, zaprawdę, Królestwo Boże,  
 Pozwólcie dziatkom przychodzić do mnie“!  
 I wstał, i święte położył dłonie  
 Na dziątek onych schylone skronie,  
 I błogosławiąc ich jasne głowy,  
 Mówił ku wszystkim świętami słowy:

„Zaprawdę, ich jest Królestwo Boże!  
 Im przed wszystkiemi niebo otworzę,  
 Z prósb tego świata najpierwsza wleci  
 W podwoje niebios — modlitwa dzieci!  
 Bo gdy ich myśli czyste jak zdroje,  
 Gdy się tak modlą szczerze a skromnie,  
 Z radością serce słucha ich moje;  
 Pozwólcie dziatkom przychodzić do mnie“!

*Maryja B.*

## WSPOMNIENIA Z ŻYCIA POETY.

(Dokończenie).

Dzień ten niedzielny upływał jęj cicho, choć w ciągłych cierpieniach, a widząc moje i ciotki zmęczenie, koło północy kazała nam koniecznie pójść się położyć. Została przy nięj dobra przyjaciółka p. Hryniewicka, z którą przez całą noc to odmawiała modlitwy, to naprzytomnięj rozmawiała. O nikim nie zapomniała, każdęj z drogich jęj osób, a nawet niektórym od lat kilkunastu niewidzianym znajomym, poleciała przesłać parę słów pożegnania. Nad ranem zażądała Komunii Świętęj, którą przyniesiono jęj podczas naszej nieobecności, bo nie pozwoliła aby nas budzono. Ojciec tylko, Władzio i p. Hryniewicka byli przy nięj kiedy Wijatyk przyjęła. Ukradkiem więc wsuwaliśmy się do jęj pokoju, tłumiąc łkanie i z daleka patrząc na twarz, z któręj wiał pokój tak uroczysty, że wobec nięj lży nasze przestawały płynąć, bośmy czuli i jakby widzieli, że już przed nią stoją otwarte bramy innego, lepszego świata. Choć już, mało co mówiła, serce jęj i myśl w tęj nawet chwili i w obec wieczności zwracała się jeszcze ku ukochanym na ziemi; bo kiedy po raz ostatni, na parę godzin przed skonaniem, pozwolono mi do nięj się zbliżyć, pocałowała mnie zimnemi już usty, i słabo, ale wyraźnie wyrzekła o tobie maleńkim, którego tak ciężko było jęj opuścić: „Ty będziesz mu matką, ty i Zosia“. Modlitwy i błogosławieństw, które nam dawała cicho, oznaczały ostatnie jęj godziny; a choć wciąż jeszcze cierpiała Bóg po tylu mękach oszczędził jęj męczarni i walki konania, oddech tylko coraz słabszy zwiastował zbliżający się koniec. Głowę oparła na ramieniu ojca, który z nią odmawiał modlitwy; wtém nagło nsmiechnęła się, i z twarzą dziwnie rozjaśnioną, wyciągając ręce, jakby do kogoś zbliżającego się do nięj: „O weź mnie już, weź“! szepnęła, i umilkła jak gdyby odpoczywając, a ogarniał ją już odpoczynek wieczny! Zgasła tak cicho, że ojciec nie spostrzegł chwili ostatniego jęj odetchnienia i bał się ją przebudzić, mówiąc do nas: „Cicho dzieci, mama śpi, mama w letargu“, a myśmy uwierzyć nie mogli, że ona już nas nie widzi, tak oko jęj było jasne i twarz pogodną została. Dopiero kiedy ojciec, widząc ją tak nieruchomą, zbliżył do jęj ust zwierciadło, a oddech szkła nie zaćmił, wybuchnął płacz i jęk tak długo przez wzgląd na nią tłumiony. Ale powoli ten anielski wyraz jęj twarzy uciszył głośnie wyrazy żalu, nadając i boleści naszęj ten spokój uroczysty, z którym uleciała jęj dusza. W kilka godzin po śmierci

odmłodniała i wypiękniała jeszcze, a ilekroć od-  
daliwszy się z jęj pokoju, czułam, że rozpacz mnie  
ogarnia i próżnia straszna: powracałam zaczer-  
pnąć uspokojenia i pociechy, ukląkwszy przy jęj  
łóżku i wpatrując się w to oblicze jaśniejące nad-  
ziemską pogodą, w ten spoczynek, który zdawał  
się świadczyć, że dusza, która tak piękne pozostawi-  
ła na uśpionęj twarzy ślady, już osiągnęła na-  
grode trosk i walk życia. Najczęściej znajdowa-  
łam ojca czytającego modlitwy przy tęj, której  
i po śmierci nie odstępował. Tak przez trzy dni  
mogliśmy jeszcze mamę oglądać osypaną kwiatami  
wiosennemi które lubiła, a które dotąd zawsze mi  
sen jęj ostatni przypominają. W dzień pogrzebu  
zdało nam się że powtórnie ją tracimy, kiedy uko-  
chana postać na zawsze znikła nam z przed oczu.  
Ojciec i Władzio złożyli ją sami do trumny, w któ-  
ręj ja nie miałam już siły jęj oglądać. Pogrzeb  
cały przesunął mi się przed oczyma jak sen stra-  
szny, a za powrotem przebudził mię twój prze-  
strach i płacz, boś się przeraził widząc nas  
wszystkich w grubęj żałobie. A nie myliłeś się  
wówczas mój Józiu, łzami witając czarne nasze  
suknie i zapłakane twarze!

Jakże ci opisać to straszne uczucie osierocenia  
i próżni, które i dusze nasze czarnym całunem po-  
kryło, a którego podzielić jeszcze nie mogłeś?  
Coraz to żywiej, coraz to boleśniej dawała się  
czuć nieobecność tęj, w około której wszystko się  
obracało, a która, nawet chora i bezsilna, duszą  
była wszystkiego, słodkim węzłem i spójnią całej  
rodziny, aniołem stróżem domowego ogniska. Z jęj  
zniknięciem dom już był rozbity, nawet przy ojcu,  
nawet przy czynnej i troskliwej opiece ciotki, któ-  
ra z nami pozostała, aby czuwać nad naszém  
sieroctwem. Ojciec mężnie znosił smutek, ale ka-  
żde jego słowo świadczyło jak głęboko był dotknię-  
ty. A kiedy wieczorem wychodził z zadumania,  
rozmowa jego zwracała się zawsze ku przedmio-  
tom które miał na myśli; ku ukochanej zmarłej,  
o której nagrobku przemyślał i której pomnąc  
może na własne cierniami zasłane życie, chciał  
wystawić krzyż biały marmurowy z koroną cier-  
niową. Mówiąc o niej i o chwilach jęj ostatnich,  
nieraz rozwijał myśli swoje o przyszłym życiu,  
o próbie wędrowki ziemskiej, z której jedne dusze  
poniżone i skalane, drugie lepsze i czystsze, niż na  
ten świat weszły, wychodzą, aby wedle zasługi na  
tamnym świecie w wyższe i szczęśliwsze przejść  
sfery, lub ze stokroć większym bólem i trudem  
odrabiać znowu to, czego na ziemi wypełnić nie  
chciały. Może przeczcuciem wiedziony, że i jego  
opieka nad nami wkrótce widomą być przestanie,  
mawiał też o swęj wierze w pomoc i czuwanie nad  
nami dusz ukochanych, którym Bóg dozwala opie-

kować się pozostawionymi na ziemi wędrownika-  
mi. A mówił to z takiem przekonaniem i wieszczą  
siłą, że rozjaśniać się zdawała przed nami straszna  
pozagrobowa zagadka!

.....

Za powrotem moim z ciotką we Wrześniu, no-  
we tylko czekało nas i to ostatnie rozstanie. Le-  
dwie miałyśmy czas rozgościć się w mieszkaniu  
koło lasu, nacieszyć się tobą, którego na wakacye  
ojciec wziął do domu, kiedy w parę dni ojciec  
przyjechał z Paryża bardzo ożywiony, zwiastu-  
jąc nam nowinę, że z poleceniem rządowem na  
Wschód wyjeżdża. Po pierwszej chwili wzrusze-  
nia, zniknął prawie smutek rozstania się z nim na  
kilka miesięcy, w obec tego jego ożywienia i po-  
krzepienia moralnego. Myślałam, że wyzwolony  
z niewoli arsenalskiej, odetchnie w poetycznym  
kraju, który od tak dawna pragnął zobaczyć; że  
nowego zaczerpnie życia w sympatycznym dla sie-  
bie żywiole — i uspokojona a nawet pełna pię-  
knych nadziei wróciłam do Paryża z ciotką i Wła-  
dzim zając się przygotowaniem do wyjazdu ojca.  
Oleś i Jaś z tobą w Fontainebleau pozostali; tam  
was ojciec pożegnał i szczególnie był wzruszony,  
kiedy nachylony nad tobą i kilkakrotnie całując  
jasną twą główkę, powtarzał: — „Bywaj mi zdrów,  
bywaj mi zdrów, mój chłopcze“!

W Arsenale czekał nas Służalski, który ojcu  
miał towarzyszyć; co wielkiem było dla nas uspo-  
kojeniem, bo trudno było wierniejszego wyobrazić  
sobie stróża, jak ten sercem i duszą oddany ojcu  
pocziwec.

Szybko dni kilka upłynęło na przygotowa-  
niach do drogi, wśród odwiedzin i pożegnań przy-  
jaciół i znajomych. Fantazyja Służalskiego, pod-  
niecona perspektywą Wschodu, epicznych dosię-  
gała rozmiarów: każdy kufer dawał mu nowy te-  
mat improwizacyi, a namiot podróżny, który ojciec  
zabierał z sobą, w zachwyt go wprowadzał, kiedy  
w myśli swojej szumnie go rozkładał, i chorą-  
gwią, którą nam na gwałt szyć kazał, przyozda-  
biał. Trzeba było o smutku zapomnieć i śmiać  
się nieraz serdecznie, a żadne czarne przeczcucie  
nie ostrzegło mnie wówczas, w jakiej żałobie mis-  
syi swej przy ojcu dokona wesoły stróż-kozak. Oj-  
ciec jednak choć w domu rozporządził się tyl-  
ko na kilka miesięcy, dalej przecież poważniej  
w przyszłość patrzył: bo przez dwa ostatnie dni  
zamknięty w swoim pokoju wciąż papiery palił,  
niszcząc zapewne to, czego nie chciał, aby po nim  
czytano, i wykonywając niejako zawczasu ostatnią  
swą wolę.

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu. Ku wie-  
czorowi ojciec żwawo i wesoło wyszedł ze starych  
murów Arsenалу, i odwieźliśmy go na kolej. Słou-

ce właśnie zachodziło, i przy wejściu do dworca, ostatnie jego promienie ozłacały twarz ojca, tak pełną życia, energii, zdrowia, że lżej mi się na sercu zrobiło i pierzchnęły mimowolne obawy tej gorzkiej chwili. Ale zaraz znowu żal mnie ogarnął, gdy nie pozwolono nam za ojcem wejść do „salle d'attente” i na progu trzeba się było z nim pożegnać. Uścisnął nas i pożegnał szybko, jakby broniąc się od rozrzewnienia, i wszedł w głąb sali; ale przy drzwiach odwrócił się jeszcze i skinął ku nam nim zniknął — tym razem na zawsze!

W miesiąc później, 26-go Listopada, już byliśmy podwójnie sierotami, a w trumnie odwieziono nam ojca, aby wedle ostatniego swego życzenia spoczął obok tej, która tak niedługo czekała na niego.

\* \* \*

Na tem kończą się wspomnienia pani Maryi Goreckiej; do których dodajemy opis ostatnich chwil Mickiewicza, podług opowiadania naocznych świadków:

Mickiewicz przybył do Konstantynopola w miesiącu Październiku 1855 r. w towarzystwie pomiędzy innymi Armanda Levy i Henryka Służalskiego, i zamieszkał w prywatnym domu na *Jeni-Szeri*.

Wkrótce potem wyjechał do Burgas, i tam pod namiotem przepędził parę tygodni. Podobał sobie nad wyraz w obozowem życiu, jeździł konno na polowanie, jadł proste żołnierskie potrawy; lecz zmiana taka życia paryzkiego, pokojowego, na polowe, była za gwałtowna i nieostrożna. Nie umiano go przestrzedz a nawet nastęrczono mu rozmaite obozowe rozrywki, widząc, że w tem podoba sobie. Zdało mu się, że on młody i czersztwy, jakim był na skale Ajudahu, i że to swobodne powietrze, ten pokarm przyrządzony przy obozowem ognisku, przywróca mu siły, które sterał nad książkami i na paryzkim bruku. W Burgas zachorował, był niezdrów dni kilka; lecz potem znowu poczuł się zdrowszym i w tym stanie powrócił do Konstantynopola. Osoby co go tu odwiedzały często, mówiły że nie zachowywał ani dyety, ani się okrywał starannie i jakby na przekor, chciał przywykać do twardego życia. Stan przecieź jego zdrowia nie był zatrważającym aż do 25 Listopada. W poniedziałek z rana, około 10-tej, rozmawiał z przyjaciółmi o swych dzieciach, i zakończył uwagą, że w najmłodszym Józju postrzega umysł uderzający nad wiek jego dziecinny. Rzekł wreszcie — Wiecie żem się zaczął uczyć po turecku. Lękam się tylko, żeby się ze mną nie stało podobnie jak z jednym z królów naszych, który już nieźle sylabizował, gdy go śmierć zaskoczyła”. — O wpół do dwunastej uczył

mdłości i lekką dyaryę i położył się do łóżka, lecz symptomata cierpień były tak słabe, iż niko-go nie zatrwożyły”. Około godziny trzeciej poczuł się lepiej i zapragnął spoczynku. Wyszedł Levy i Kuczyński a pozostał Służalski. Zaledwie upłynęła godzina, gdy ponowiły się boleści gwałtowniej i Służalski wezwał lekarza Gębińskiego. Dał on Mickiewiczowi natychmiast lekarstwa i kazał ogrzewać ciało, ale na zapytanie Służalskiego odpowiedział: że chory jest w stanie bardzo niebezpiecznym. Mickiewicz wyczytał to niebezpieczeństwo z zafrasowanej twarzy Służalskiego i zapytał go: — „Powiedz mi prawdę Służalski, co lekarze mówią o mnie?” — a byli już oprócz Gębińskiego dwaj inni, Szostakowski i Bednawski. Służalski ze łzami w oczach odpowiedział: — „Mówią, że możesz umrzeć”. — Wtedy on rzekł: — „Kaź mi zawołać księdza Ławrynowicza”. — Potem kazał sokie podać pióro i chciał pisać, lecz gdy mu Służalski przyniósł papier, rzekł: — „Nie mam siły”, — i upadł na łożo. Posłano więc po księdza, a tymczasem doktorowie rozcierali mu ciało i przepisali powtórnie lekarstwa, którego przyjąć nie chciał. Po chwili znowu się boleści uspokoiły. Myślano, że Mickiewicz zaśnie i wszyscy powychodzili z izby; na żądanie chorego pozostał Levy i Służalski. — „Nie wiedzą co mi jest, rzekł Mickiewicz do nich. Chcą mnie ogrzać, a ja cały w ogniu”. — To rzekłszy, pochylił głowę i zasnął, lecz na chwilę — wtem ksiądz przybył. Wszedł po nim Drozdowski i powtórzył nacierania. Gdy się zbliżył Służalski, Mickiewicz rzekł mu: „Powiedz moim dzieciom, niech się kochają między sobą”. Potem leżał spokojnie, a ksiądz Ławrynowicz namaścił go Olejem świętym. O dziewiątej godzinie konać zaczął..

„Lzy rzewne polały się wszystkim z oczu, gdy spojrzeli po sobie a potem na umarłego. Uczucie sieroctwa i pewnej próżni życia owiało ich. Podali sobie wzajem dłonie i łkając przyrzekli spełnić godnie i z niezachwianem mężstwem pielgrzymkę życia.

Było to w dniu 26 Listopada 1855 roku.

Zygmunt Krasiński pod wrażeniem wiadomości o śmierci Mickiewicza tak pisze do przyjaciela swego Adama Sołtana:

„Pan Adam już odszedł od nas — na tę wieść pękło mi serce. On był dla ludzi mego pokolenia miodem i mlekiem, żółcią i krwią duchową, my z niego wszyscy. On nas był porwał na wzdętej fali natchnienia swego i rzucił w świat. Był to jeden z filarów podtrzymujących sklepienie, złożone nie z głazów, ale z serc; *filary to był olbrzymi*, choć rozpękły sam, a teraz gdy dołamał się i runął w przepaść, całe sklepienie ono zadrzeć musi,

i kroplami krwi z ran serc, z których złożone, płakać nad jego grobem! Największy wieszcz, nie tylko narodu ale wszystkich plemion słowiańskich, już nie żyje!

Smutno—smutno—smutno!”

## LORETO.

W pobliżu ujścia do Adryjatyckiego morza rzeki Mussone, we włoskiej prowincyi Ankonie, leży nie wielkie miasto Loreto, rozgłosne tém, że od wieków ściąga w swe mury liczne zastępy pielgrzymów, przybywające tutaj aby nawiedzić domek, w którego ubogich ścianach mieszkała święta rodzina z Nazaretu. Domek ten zwany przez Włochów: *la casa santa*, przed zburzeniem Jerozolimy przeniesiony na brzegi Dalmacyi, a następnie tutaj, składają jedynie cztery ściany z bardzo starożytnej cegły, opasane do koła grubym murem. Kaplica którą tworzą, mieści się wpośrodku wspinałej katedry przedstawionej na rycinie naszej. Oświetlona wewnątrz dwoma rzędami lamp, ma dwoje drzwi i małe starożytny kominek po nad którym umieszczony posąg Matki Bożej, a przed tymże ołtarz oddalony od ściany, tak żeby go obejść można było dokoła. Na wzór kaplicy w Lorecie, zakładano w wielu miejscowościach u nas, tak zwane: *domki loretańskie*, podobne temu który jest przy kościele parafialnym na Pradze. Okolice Loretu słyną malowniczymi ubiorami wieśniaczek, zwracając one ogólnie uwagę podróżników, podajemy je przeto tutaj.

## Z ŻYCIA PENSYONAREK,

OPOWIADANIE W LISTACH.

### LIST III.

Zapowiedziałam wam moje drogie siostrzyczki, że dowiecie się w tym liście co mi powiedziała Kolska na moje zwierzenia, a więc słuchajcie! Ale muszę przecież wprzód opowiedzieć jak ona wygląda i jak ja ję zapytałam, a trzeba wiedzieć że to z nią nie łatwa jest sprawa. Wyobraźcie sobie pannę, już blisko ośmastoletnią a która jeszcze się starszą wydaje niż jest, dosyć dobrej tuszy, z twarzy a nawet i całej postaci bardzo podobną do kogoś... kogo dobrze znacie. Z tém podobieństwem to także zabawna rzecz, bo zauważyłam je od pierwszego spojrzenia na Kolską, ale ani raz, przez cały kwartał nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie i kogo podobnego widziałam; dopiero do was

wróciwszy, gdy wybiegłyście przed dom na turkot powozu, a Franka z kuchni wypadła po moje rzeczy, aż się cofnęłam, tak żywo podobieństwo między nią i Kolską mi się przedstawiło. Z tego podobieństwa możecie się domyśleć że panna Kolska ma pozór niebrzydkięj, prostęj wiejskięj dziewczyny, zdrowęj jak młody rydzyk. Nikt nigdy patrząc dziś na nią, nie zgadłby że przed niedawnym czasem, gdy była bogatą, była porządnie brzydką, chudą, bladą i w dodatku mocno zezowatą. Dowiedziawszy się o tém, zdziwiłam się, bo zawsze słyszałam, że siedzenie nad książkami i zeszytami, w pochylonej postawie i w duszném powietrzu po pensyonatach, jest właśnie bardzo szkodliwem i zabójczem nawet dla młodych panien, a tymczasem panna Kolska w tych właśnie szkodliwych warunkach, w ciągu lat kilku przyszła do zdrowia, a co zatém idzie, wyładniała; a już z jakiej racyi mogły ję się oczy przy pracy nad książkami sprostować, to mi się najdziwniejszém zdawało. Raz tedy, gdy się o pracowitości Kolskiej coś wspomniało między nami *na robotach*, przy panie Luizie, prosiłam o pręstaniek w niemieckich rozmowach jakie się przy *robotach* odbywają i zapytałam panny Luizy o to, co mię względem Kolskiej dziwiło: Czyliżby to bajki były co ludzie mówią o szkodliwości szkół dla zdrowia uczni? i jak było z zezem?

— Wcale nie bajki — odpowiedziała panna Luiza głową kiwając — a choć widzicie że i tu u nas czyni się co można w obecnych warunkach, że się was codziennie w pogodę wyprowadza na przechadzkę, że się okna starannie otwiera i świeże powietrze utrzymuje, że w niepogodę tańczycie w salonie zamiast przechadzki, że wam się proste ale świeże, zdrowe i porządnie przygotowane daje jedzenie, przecież żadnej wątpliwości nie ulega, że każdęj z was zdrowiejby było na wsi niż u nas.

— A więc, jakimże sposobem Kolska chora na wsi mogła tu wyzdrowieć? — zapytałam ja znowu.

— Bardzo prostym — odparła panna Luiza — Kolska wyzdrowiała nie *dla tego* że ją na pensyę oddano, lecz *mimo* tego, a zaś istotną przyczyną jęj wyzdrowienia, była zmiana sposobu życia i odżywiania się, z gorszego na lepsze, bo wszakże i na wsi można prowadzić życie niezdrowe, gdy się tak komu spodoba.

— A jakież to życie takie niezdrowe, prowadziła dawniej Kolska? — wypytywałam dalej, a dobra panna Luiza mówiła:

— Takie, że na nieszczęście nie mając już matki, tylko ojca który zajęty czem innem nie mógł wglądać w jęj postępowanie, czyniła co jęj się podobało, a podobało jęj się wcale nie mądrze, zaś liczna służba i nawet niestety sama nauczycielka francuzka, ulegali ślepo woli bogatęj, roz-

pieszczonęj, i źle wychowanęj panienki. Więc Kolska wstawała z łóżka o południu do obiadu dopiero, nie oddychając nigdy świeżemi woniami poranku. Wstawszy tak późno, spiesząc się i irytując na pannę służącą przy ubieraniu, bo lękała się aby ojciec nie czekał już przy stole, oczywiście nie miała następnie wcale chęci do jedzenia. Zbywała zatem obiad, nie jedząc prawie zwykłych zdrowych potraw, chyba jaką leguminę lub deser dopiero, i siedząc na prawdę przy stole, jedynie dla towarzyswa ojca. Po obiedzie, ojciec nachodzący się, najeżdźszy i napracowawszy dosyć już od rana, spoczywał w swoich pokojach, a panienka radaby się była przejść, ale latem był właśnie wtedy największy upał, więc próżno, troskliwa o cerę swęj buzi panienka chroniła się przed słońcem w domu; zimą zaś więcej jeździć jak chodzić można na wsi. Wieczorem, znów byłaby chciała przejść się Kolska, ale ojciec właśnie zasiadał do wczesnej wieczerzy, a lubił mieć córki koniecznie w takich razach przy sobie, a po wieczerzy jeśli byli goście, trzeba było z nimi siedzieć; a jak nie było nikogo, to rządny gospodarz sam wszystko opatrywał, zamykał, ogień kazał gasić i szedł spać co prędzej, aby tēm ranięj wstać do pracy. Ale panience spać się jeszcze nie chciało, więc po całych nocach nieraz z nudów czytywała książki, chodziła po pokojach, czasem o północy zjadła jakie ciasto lub owoce i znużywszy się, smutna kładła się spać późno, a jeszcze nieraz zasnąć nie mogła. Przyszło nawet do tego, że zupełnie sen straciła z powodu takiego sposobu życia, i zasłała naprawdę. Doktorzy wezwani przez troskliwego ojca, mówili że panna Kolska miała katar żołądka, czy też katar kiszek; nie wiem naprawdę, jaki ona tam miała katar, ale to pewna że go miała i to chroniczny kiedy przybyła do nas na pensyę. Kochający ojciec oddał ją pani Janickiej wcale nie na naukę, ale po to jedynie aby panienka miała rozumną w chorobie opiekę i tak mówił do pani Janickiej:

— Choćbym wszystko porzucił a zajął się dzieckiem, nie poradzę nic, bo nie znam się na chowaniu dzieci, a tymczasem interesa moje zawikłane zawikłaby się do reszty i dzieci nie miałyby nic. Przeto umyśliłem sobie podzielić moje troski, sam zajmę się interesami, a pani o której macierzyńskim sercu tyle słyszałem, powierzę sieroty moje. Żadna nie jest chora obłożnie, ale obie wyglądają tak, że przykro jest na nie patrzeć i doktorzy bardzo źle dla nich wróżą, w razie jeśli by nie zmieniły sposobu życia. Zatem dla tęj zmiany głównie, przywożę ja moje córki na pensyę, tak samo jak miejscy rodzice, dla zmiany oddają dzieci swoje na lato na wieś. Przekonany jestem że zmiana jest

istotnie pożądaną w młodym wieku i że nie warunki uboczne życia, ale życie samo wpływa na młodzież. Wiem też że córka moja bez opieki macierzyńskiej zanadto kapryśnie i samowolnie urządziła sobie życie przy mnie, przeto, powierzam pani sprostowanie tego skrzywionego wychowania. — I to powiedziawszy i wskazawszy najslynniejszych lekarzy których dla córki życzył i opłaciwszy koszta przyszłe sownie, uściskał biedny ojciec ze łzami obie córki i odjechał. Pani Janicka, zaraz po pierwszej z Kolską rozmowie, aż się za głowę wzięła ze zmartwienia, spostrzegłszy ile w niej kapryśców, dumy, nieświadomości i uprzedzeń będzie miała do zwalczania. Na razie, postanowiła nic nie działać zaczepnie, ale postawić się biernie nieugięta; to jest, umyśliła nie ganić, nie wymagać i nie nakazywać nic nowęj pensyonarce, tylko poddać ją pod naturalną pensyonarską rutynę, bez względu na *katar* żołądka itd. Tak postanowiwszy, pani Janicka nie zapisała wcale Kolskiej na żadną listę, choć ją zaliczyła do trzeciej klasy, raczję ze względu na wiek i wzrost, niż na uzdolnienie, bo tak jest, że na prywatnych pensyonatach, przełożone muszą mieć wzgląd na wiele rzeczy. Nauczyciele i nauczycielki zatem nie wyrwali Kolskiej do lekcyi, nie mając jęj na liście. Ale swoją drogą, ponieważ bez żadnego względu pomieszczono ją między najpospolitszemi pensyonarkami, musiała ona zatem prawie mimowoli do nich się stosować. Więc przedewszystkiem musiała iść spać zaraz z wieczora z wszystkimi, i wstać rano z wszystkimi; musiała się umyć w zimnej jak lód wodzie codziennie, aby sprytne koleżanki nie wysmiały jęj jako śpiocha i niedbałej. Musiała sama sobie zaczesać lada jak włosy, byle zaczesane były, bo wstydy byłoby nawet wspomnieć o tēm aby ją służąca czesała, w obec kilkudziesięciu panienek czesających się same bardzo zręcznie, choć niektóre jeszcze zamężniejsze były od Kolskiej. Musiała zjeść obiad, a potēm wieczerę sumiennie, gdy je podano, bo najprzód, tak robiły wszystkie panny i wysmiewały „*francuzkie psinki*” jak wedle tajnego słownika trzeciej klasy u pani Janickiej, do dziś dnia nazywają się kapryśne pensyonarki; a potēm, przekonała się Kolska smutnym doświadczeniem, że na pensyi nie zjadłszy porządnie obiadu i wieczerzy, jest się bardzo głodną aż do następnego dnia. Żadne tam dodatkowe i nadetatowe przegrzki i przekąski o północy miejsca nie mają; a niby nawet mogło być coś podobnego, bo wtedy wszyscy śpią, a nauczycielki nawet śpiąc czuwają, więc na najmniejszy hałas zrobiłby się hałas większy a potēm straszny strach, wrzask, krzyk i śmiech. A śmiechu ze siebie samej nie lubiła słuchoać Kolska, więc dla tego głównie, prędko dosyć zasto-

sowała się do nieubłanego porządku życia, jakiemu się znalazła podległą. Jakiś czas było jej to przykro okrutnie, ale zmiana, towarzystwo i młodość, przemogły tę przykrość. Powiadają o żołnierzach, że lada tchórza jednego postawiwszy między odważnym wywiczonym żołnierstwem, można go nie poznać zaraz w pierwszej bitwie, tak mimowoli skrupulatnie będzie on pełnił to, co wywiczeni żołnierze pełnić będą koło niego. Tak właśnie, choć pod innym względem było z Kolską. Bardzo prędko za stosowawszy się do koleżanek, zaczęła ona wkrótce dziwić się i trapić, dla czego nie bywa *wyrzwaną* na lekcji na którą przygotowała się wraz z innymi. Dowiedziawszy się o tém, pani Janicka zapisała ją natychmiast na listę, nauczyciele zaczęli ją pytać i Kolska bez żadnych nakazów i kłopotów stała się jedną z najpilniejszych uczennic; dla tego mianowicie, że będąc dumną bardzo, chciała być koniecznie pierwszą w nauce przed koleżankami. Duma ta szlachetna ponieważ ze szlachetnych powstająca pobudek, uczyniła prędko z Kolskiej pierwszą uczennicę w trzeciej klasie, a praca nad utrzymaniem tego pierwszeństwa wybiła jej z głowy wszelkie kapryśne poprzednie dzieciństwa, z nudów powstałe. Bardzo prędko zaczęła być trzy razy dziennie głodną bardzo, co jest właściwą cechą pensyonarek. A gdy się spać kładła a chciała coś komu powiedzieć, to musiała koniecznie i coprędzej uczynić to jeszcze stojąc, zanim opuściła się na łóżko, bo jak tylko na nie padła, jak tylko głowę wsparła o poduszkę już spała jak bobak, choćby co najciekawszego miała do powiedzenia. Skutkiem takiego wybornego apetytu i doskonałego snu, dwóch najważniejszych warunków życia i sił, Kolska zaczęła prędko przychodzić do zdrowia, gdy nagle ojciec jej umarł, a z jego śmiercią, zawikłane majątkowe sprawy splotły się tak nieszczęśliwie, że dwie małe sieroty pozostały gorzej niż ubogimi, bo z główkami pełnymi wspomnień świetnej przeszłości. Kolska, tkliwa i wrażliwa odchorowała śmierć ukochanego ojca, ale zaraz, już w ciągu choroby, uczuła dla młodszego siostry jakieś dziwne uczucie podobne do rodzicielskiego po części: zapewne przez serdeczną wdzięczność dla ojca, czuła troskę o mniejszą od siebie jego sierotkę. Dopytywała się o nią ciągle, chciała ją mieć przy sobie, ale ujrawszy ją, jakby rozgorączkowana odsyłała ją znów natychmiast do nauki, rozpowiadając szeroko o pożytkach jej dających człowiekowi byt niezależny. Oczywiście musiała Kolska nieraz od zacnego ojca takie rzeczy słyszeć albo w książkach czytać, ale nie zastanawiała się widać nigdy nad niemi, dopiero w czasie długiej choroby przyszło zastanowienie, wśród tęsknoty za ojcem i troski o siostrę. Pani

Janicka powiada, że dopiero w czasie tej choroby swęj wychowanki, przepędzając przy jej łóżku najgorsze noce, poznała do gruntu zacny jej charakter, i nauczyła się cenić przymioty jej, przymione nieumiejętnym pierwotnym wychowaniem. Później, choć Kolska nie była już w niebezpieczeństwie, przecież pani Janicka jeszcze nie jedną godzinę spędzała u jej łóżka, mówiąc nam potem, że smutna to jest ale niemniej prawdziwa rozkosz, śledzić jak cierpienie kształci zacną i dzielną duszę. Zda się nawet jakby od owego czasu zawiązał się jakiś rodzaj przyjaźni między przełożoną i jej uczennicą, która to przyjaźń podobno trwać już będzie na zawsze. Dźwignąwszy się z choroby, Kolska była już tém czém jest dzisiaj. Z miłości dla siostry, z troski o jej przyszłość, stała się wzorem wytrwałej pracowitości; a przytém, ani o tém pomyślawszy, gdy choroba i ciężki żal minęły jak wszystko mija na świecie, Kolska w zapamiętałej pracy, ale przy regularnym i rozsądnym życiu, przyszła zupełnie do zdrowia i wyładniała, co za zdrowiem idzie.

— Ależ zéz! jej zéz! — zawołałam gdy dobra panna Luiza umilkła w swém opowiadaniu — z czegoż Kolska miała ów zéz o którym ciągle słyszysz pensyonarskie tradycje i jakim go się ona cudem pozbyła?

— Ej, obyło się bez cudu — śmiejąc się odrzekła panna Luiza — Kolskiej zezowatość nie była miłą istotnie, ale widać nie z żadnej organicznej wady oczów pochodząca: może nawet nie od urodzenia, ale prędzej z jakich figli co się czasem zdarzają między mniej starannie chowanymi dziećmi, które od jednego swawolnika uczą się naumyślnie sztuki krzywego patrzenia, nie wiedząc o tém że ta sztuka, może im pozostawić na zawsze ślad swój w oczach raz wykrzywionych. A może też Kolska dużo czytając w bezsenne noce od najmłodszych lat, skrzywiła sobie oczy właśnie takiem złem i w złej postawie czytaniem, bo czytała najczęściej zgarbiona, schylona, na jakim szesłagu i z książką tuż przy oczach ponieważ czytała przy świetle. Nie ulega wątpliwości że postawa przy czytaniu i sposób w jaki trzyma się książkę przed oczyma, wpływają na wzrok. Zezowatość Kolskiej trapiła jeszcze jej ojca nawet, i on sam już się w tym względzie radził lekarzy, którzy uradzili że trzeba wykonać na oczach Kolskiej operację. Ojciec aż krzyknął ze strachu na taką propozycję, bo operacja podobna bardzo łatwo nawet przez najbiegłego lekarza okulistę może być chybioną. Wołano tedy oczywiście zostawić brzydki zéz jak był, niż narażać oczy. Wprawdzie ktoś tam, jakaś stara nianka czy krewniaczka gawędziła przytém nieśmiało, że za

dawnych czasów bywały na zézy jakieś domowe środki, jakiś tam rodzaj okularów domowej roboty które zmuszały krzywe oczy do patrzenia prosto i przez przyzwyczajenie oduczały ich od zéza. Poczciwy ojciec zauważył nawet tę gadaninę starszej kobiety i zażądał próby. Życzliwa kobieta zrobiła owe okulary i założyła je Kolskiej uprzedzając że trzeba je nosić całe miesiące może. Ale wykwintna panienska spojrzawszy w zwierciadło krzyknęła, i zerwała okulary gniotąc je bucikami, bez względu na pracę jaką kosztowały, a sam ojciec nawet nie miał serca gniewać się o to, tak szkaradnie wyglądały w istocie. A więc zéz, zézem pozostał. Ale po z ubożeniu Kolskiej i w czasie jéj choroby na naszej pensyi, lekarze powiedzieli, że trzeba koniecznie zrobić operacyę oczną, bo taki rodzaj zézu powiększa się i może także tak jak chybiona operacya doprowadzić do ślepoty. Pani Janicka zakazała wcale wspominać o téj rzeczy Kolskiej dopóki ona była chora, ale gdy wyzdrowiała zupełnie, wtedy sama pani Janicka powiedziała jéj zdanie lekarzy. Kolska wtedy już tak jak dziś o niczém inném nie myślała, tylko o swojej młodszej siostrze Rózi Kolskiej która obecnie jest w drugiej klasie. Usłyszawszy że oczy jéj są zagrożone przelekła się okropnie, ale więcej ze względu na siostrę niż na siebie.

— Cóż się stanie z dziesięcioletniem dzieckiem, jeżeli ja nie będę miała wzroku aby na nie pracować? — zapytała pani Janickiej, zalewając się łzami, bo wiedziała i każdy wie, że z całym najlepszym sercem, żadna przełożona pensyi, nie może wyżywić tyle sierot lub ubogich dziewcząt, ileby rada. Pani Janicka zapłakała sama, choć się łzom wszelkimi siłami broniła, ale jako starsza i doświadczeńsza, przypomniała Kolskiej owe to okulary jakieś domowej roboty o jakich sama od niej słyszała:

— Moje dziecko — mówiła pani Janicka — dużo jest przeróżnych środków leczenia o jakich nie wiedzą lekarze, dla tego, że to są środki bardzo stare właśnie, doskonałe nieraz, ale nieznanne młodszemu pokoleniu. Nauka wspiera się na doświadczeniu, przeto wszelkie stare gawędy szanować trzeba koniecznie, choćby już tylko z tego względu: spróbuj ty owego starego sposobu o jakim mówiła i jaki radziła ci owa krewna. — Kolska, która sama niegdyś zdeptała okulary, pracę swéj krewniaczki, teraz gdy chodziło o wyżywienie i naukę młodziej siostry, ani się zawahała. Chwycała się rady pani Janickiej jak tonący chwyta się brzytwy. Z dawnych wspomnień sama sobie robiła okulary, oczywiście jeszcze brzydsze niż tamte które robiła wprawniejsza krewniaczka i gotowa była nosić je ciągle, nawet na ulicy byle wzrok

ten skarb nad skarbami zachować. I otóż stało się na zaszczyt starożytnych tradycyi, że po kilku miesiącach, po pół roku blisko, oczy zmuszone do patrzenia prosto, w kierunku otworków zrobionych w owych okularach, przyzwyczały się do prostego patrzenia. Kolska stała się tém czém ją dziś widzisz, nie *bardzo* piękną, ale miłą, zdrową, o ładnych niebieskich oczkach, żwawą serdeczną panienską, którą każda bez wyjątku matka radaby do serca przycisnąć, nie mówiąc już o tém, że nauczycielki i nauczyciele, powoli, zaczęli się nią zachwycać, i przed panią Janicką różne rzeczy o niej mówić. Mówili mianowicie, że jeżeli tak to dalej pójdzie jak idzie, to Kolska niezadługo otrzyma łatwo najzyskowniejszą posadę w zakładach naukowych rządowych. I tak to mówią dotąd wszyscy nauczyciele, a Kolska uczy się po szalonym dniu i nocą i drugich uczy dla zarobku i siostrę uczy dla jéj tém większej korzyści i skarbi sobie ani wiedząc o tém miłość, a mianowicie głęboki szacunek wszystkich znajdujących ją bliżej. — Tak mówiła dobra panna Luiza która gotowa jest zawsze na każde nasze pytanie odpowiadać, rozumie się kiedy pytanie jest przeciw do rzeczy. Ja, w czasie téj rozmowy zamyśliłam się głęboko tak, jak i prawie wszystkie moje towarzyszki. Obecnie, siedząc naprzeciw Kolskiej, ciemnym, długim zimowym wieczorem samotnie w jéj pokoju, to jest w tym który ona wraz z wyborowemi pannami na drugiem piętrze zajmuje, cała moja rozmowa i te opowiadania panny Luizy przysły mi na myśl. Pomimo że jesteśmy w mieście, między kamienicami, przeciw wiatr dał przeraźliwie aż szyby dźwięczały. Jedna stearynowa świeca oświecała stół, ośm łózek jedno w pobliżu drugiego, para szafek, komódek, stolik i fortepian zapełniały spory pokój. Kolska nad stosem ksiąg i zeszytów siedziała zagłębiona w nauce, wsparłszy głowę obu rękami. Ja, odrobiwszy moje lekcye wsparłam się prawie tak samo i patrzyłam na nią w milczeniu, nie chcąc jéj nauki przerywać, choć miałam ją o co zapytać; dopiero gdy uporawszy się z trudem zapewne z jakąś naukową trudnością, podniosła głowę i wyprostowała się znużona, zaczęłam z nią rozmawiać i zapytałam jéj coby też ona na mojem naprzykład miejscu robiła, w takim nieporozumieniu z najlepszą przyjaciółką, jak ja jestem z Łazowską Emcią. I otóż przyznam wam się, że się srodze zawiodłam na przechwalonej Kolskiej. Zamiast mię rozpytać i zająć się przeciw jakoś mojem zmartwieniem, ona wzruszyła ramionami, roztargniona jakoś zapewniła mię że jedynym sposobem zgodnego wśród licznych koleżanek pożycia, jest być ze wszystkimi grzecznie i ze wszystkimi z daleka i zabrała się znowu po





Ubiory wieśniaczek z okolic Loretu, (str. 501).

chwilowym spoczynku gwałtownie do pracy. I otóż czego się dowiedziałam od mądrej Kolskiej, przynajmniej że to nie wiele: mnie to rozgniewało prawie. Bo proszę, wartoż mię było z wesołą Łazowską rozłączać i pod mądrą dyrekcją szanownej panny Kolskiej poddawać, jeżeli ta pedantka nie umie nic lepszego powiedzieć, nad najzwyczajniejsze ogólniki, które już są tak powszechnie znane, że nawet wrażenie już robić na słuchaczach przestały? Cisnęłam książki i zeszyty i zła na Kolską, a trzy razy bardziej niż zwykle stęskniona za zabawną Łazowską, pójdę spać, zostawiając Kolską-rabbi nad stołem ksiąg, a sama rozmyślając, jaka też głęboka mądrość może ukrywać się w pospolitym ogólniku który każda z nas po wielekroć słyszała, nigdy nie zastanawiając się nad nim?... Z wszystkimi koleżankami trzeba być grzecznie i z wszystkimi z daleka?... Niecierpię tej Kolskiej jeszcze bardziej teraz, niż kiedykolwiek jęj niecierpiałam: trzeba nie mieć serca żeby odpowiadać oklepanym ogólnikiem koleżance która wylewa swe strapienia na twoje łono i szuka rady u ciebie; nieprawdaz? Dobranoc kochane siostrzyczki! pewna jestem że gdybyście wy były na miejscu Kolskiej, więcej znalazłabym u was współczucia, chociaż młodsze odemnie jesteście.

Ściskam was serdecznie.

ANUSIA.

## HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M..a.

(Dalszy ciąg).

— Gore! gore! pożar! ratujcie świętości! — zaryczała tłuszcza rozbójnicza, rzucając się ku świętemu dębowi który nagle, raz rozplamieniony zapłonął jak świeca olbrzymia, rozjaśniając puszcę na okół.

— Gore! gore! bacność! bacność! — krzyczał ze wszystkich sił mały Hans okrutnik w pierwszej chwili najgwałtowniejszego popłochu, rękami i nogami bijąc gwałtownie w drewniane ściany chaty więziennęj. Nie potrzebował bić w nie długo. W chwili gdy stary Kire-kirejto wraz z swym towarzyszem kapłanem młodszym i całym tłumem wyjącej rozpaczliwie tłuszczy rzucał się z mokremi płachtami i z kubłami wody na ratunek świętego dębą, w tejże chwili tylna ściana chaty więziennęj od strony lasu zatrzeszczała, część jęj padła na ziemię pod naciskiem kilku silnych ramion, i prawie natychmiast wybiegło z nięj tym wylomem

czterech ludzi dźwigających dużą czworograniastą skrzynię drewnianą na ramionach, i znikli wraz z nią zagłębiając się w gęstym lesie... Mały Hans wnuk Kirejty stojący dotąd przy chacie zawahał się chwilę, spojrział na dziada postać wyniosłą górującą wśród dębą świętego obrońców, spojrział za uciekającymi... i pomknął pochylony jak lis ścigany, w las... Z drugiej strony osady, z chaty ustronnej wybiegła równocześnie stara matka Hansa, mimo wieku pędząc wskroś popłochu jak sarna ku więziennęj chacie, dobiegłszy, stanęła, spojrziała na wylom, i chyżej jeszcze prmknęła dalej w las. A w tymże czasie, tuż u stóp Kirejty i jego najbliższych broniących rozpaczliwie świętego dębą płonącego już od pnia do szczytu wraz z bóstwami, wśród ścieśnionej ku obronie tłuszczy, usłyszano piskliwy a głośny krzyk pogańskiego jakiegoś pędraka-niedorostka:

— Więźniowie uciekają! ratujcie!...

— Tłuszcza zawrzała także jakimś niewyraźnym okrzykiem na to i wszystkie oczy padły na Kire-kirejte... ten z siekierą w jednej ręce którą odcinał płonące gałęzie dębą od pnia zawierającego bóstwa, spojrział na okół siebie, krzyknął: — Hans! — a gdy nic mu nie odpowiedziało, pochwycił w drugą rękę łuk jakiś porzucony wśród popłochu, i jak szalony, otoczony tłuszcza chwytającą w dłonie główne z płonącego dębą, popędził w las koło wpół rozwalonej chaty więziennęj, krzyząc:

— Biada! Hans! mój Hans!

— Biada! — powtórzyła strwożona wpół oszalała tłuszcza: i biegła za nim.

W dziesięć minut potem, w ciemnym lesie, krwawą łuną główni oświetlonymi miejscami, nad brzegiem dzikiego urwiska, krótka ale stanowcza rozegrała się scena. Do wozu dobiegło czterech ludzi dźwigających ciężar na ramionach, z bocznych zarośli wybiegała z wyciągnionymi rękami wiekowa niewiasta wołając wpół radośnie wpół smutnie:

— Synu mój! miły mój! idź! niech cię tylko choć raz jeszcze z dala obaczę!... — Na te słowa zadrżał i obejrzał się jeden z czterech dźwigających, a w tém padła mu w ramiona wysmukła do lisa lub lamparta podobna postać z drugiej strony lasu:

— Krewniaku mój! tatku! stryju! braciszku! — szeptała ta postać ściskając Hansa Richardsdorffia. — Słyszałem wszystko coście z sobą pierwszęj nocy w chacie matczynęj szeptali, widziałem jakęście się mię strzegli, płakałem i postanowiłem was uwolnić, kiedy z nami zostać nie chcecie; jak zostanę królem Jatwieży wy będziecie ze mną królować; matce nie mówiłem nic, żeby się nie zdra-

dziła radością, podsunąłem wam broń, wykradłszy z lochów, podpaliłem dąb, uciekajcie! uciekajcie! będziemy razem królować!

— Wracaj! albo przekleństwo tobie! przekleństwo straszego Pikały! — Hans, mój Hans! — zakrzyknął w tejże chwili z głuchym jękiem Kirejto, ukazując się z bandą swą w krwawym główni odbłasku.

— Pójdź! pójdź z nami! uciekajmy! matko! Hansie uciekaj z nami! — krzyczał Hans Richartsdorff jedną ręką przytrzymując ciężar na ramieniu, a drugą unosząc małego synowca.

— A więc giń żmijo! na łonie dziada wygrzana! — jęknął Kirejto naciągając łuk swój i strzalała dziada przeszła serce małego wnuka gdy tenże wrywając się stryjowi mówił:

— Nie! nie! muszę wracać do dziada, kocham dziada, będę królem Jatwieży, razem będziemy królować!...

Z ostatnim wyrazem mały Hans zwił bezwładnie na ręce stryja. Ale stara babka sokolim wzrokiem macierzyńskiej miłości widząc i rozumiejąc wszystko, wyprzedzając Kirejtę i bandę, była już przy synu i wnuku, a wydzierając zwłoki wnuka z rąk syna wołała straszonym głosem pełnym miłości i rozpaczy zarazem:

— Precz! precz! uciekaj synu! on mój! umarli i ranni moi są, w imię Boże uciekaj!

— Umarłym nie pomożesz, uciekajmy! — wołali trzej współtowarzysze Hansa Richartsdorffa, z gołemi mieczami w dłoniach, z ciężarem na ramionach.

— Matko! matko! — jęknął Hans Richartsdorff, ale stara matka znikła nagle w gęstwinie unosząc zwłoki wnuka, zapewne aby wahanie się syna rozstrzygnąć. Ten jednakże zrozpaczony, zamiast korzystać z chwili jaką zbiegli mieli jeszcze przed sobą, zamiast uciekać, dobył miecza, i zawsze jedną ręką przytrzymując ciężar na ramieniu, drugą wyciągnął miecz ku nadbiegającemu Kirejcie z bandą słabą, ale dość liczną na zmożenie czterech ludzi, ciężarem obarczonych.

— Ha, dziej się wola Boża! — rzekł rycerz spokojnie i już miał złożyć ciężar z ramion i zginąć w obronie rycerskiego słowa swego, gdy Kirejto i dziko wrzeszcząca banda, zatrzymali się na kilka kroków przed czterema zbiegami i zwinęli się w kłęb jak gadzina w grzbiet uderzona, a z po za nich brzęcząc płazem mieczów po karkach wystraszonej tłuszczy, ukazał się Walter jeszcze z obwiązaną głową i z dwoma innymi knechtami z krzyżackiej służby.

— Uciekajmy! — krzyczał Walter — rąbać tę hołotę wstyd dla wojownika, a zginąć od niej

łatwo, uciekajmy! mały Hans dał nam broń i powiedział abyśmy byli gotowi!

I z okrzykiem tym, depcząc tłuszcze, a nie wiedząc co się nad urwiskiem stało przed chwilą, Walter i jego dwaj towarzysze korzystając z popłochu jaki napadem swym z tyłu sprawili na Jadźwingach, wsparli rycerza i unieśli go niejako wraz z sobą, z jego ludźmi i ciężarem w głąb lasu. Oszałała strachem Jatwież zamiast gonić ich, uciekała sama dzikim gnana popłochem na wszystkie strony, bo dąb święty rozplonąwszy od stóp do szczytu, z trzaskiem stu gromów rozrzucał czerwone iskry na czarną puszcze, która chwytając je, płonęła już w okół straszonym czerwonym pożarem.

We dwa dni później, na zgłiszczach świętego dębu wśród spalonej ostatnich Jadźwingów osady, leżał konający stary Kire-kirejto, z głową wspartą na ramieniu siedzącego przy nim towarzysza starca, drugiego pogańskiego kapłana.

— Odwagi! Kire-kirejto — mówił drugi kapłan pogański — nie jesteś raniony, a jakkolwiek szczątek, choćby popiół z tego dębu, posłuży nam na podstawę nowego ołtarza Pikały; powstań i żyj!

— Po co? po co mi żyć?! Hans, mój Hans opuścił mię, zdradził mię! — szepnął starzec wół nieprzytomnie i nagle zrywając się krzyknął gwałtownie:

— Ha! wolałbym aby był nigdy nie żył! — z tym okrzykiem ostatni Kire-kirejto Jatwieży zaciśnął pięści, opadł na popioły Pikały i skonał.

Towarzysz jego obejrzał się naokół, westchnął ciężko nad smutnym losem zwierzchnika którego nawet oplakiwać nie było komu i sam jeden zabrał się do oddania mu ostatniej posługi wedle obrzędów pogańskich w tych stronach. Umieścił zwłoki w postawie siedzącej, i ze strzaskaną czarą pełną wody w ręce, rzekł do Kirejty stojąc przed nim:

— Niemam ani miodu ani mleka, przeto wodę która też darem bogów jest, piję ja do ciebie Kire-kirejto! Czemużeś mię opuścił? Czyliż nie mogłeś tak jak już raz zrobiłeś odbudować nowe mieszkanie Pikale na szczątkach dawnego i szczątki Jatwieży znów koło niego zgromadzić? Czemużeś odszedł? A kiedyś odszedł to nieogładajże się więcej po za siebie, nie żałuj nas, bo nędzę pozostawiasz za sobą. Nie patrz za siebie, lecz pozdrów tam gdzie poszedłeś przyjaciół naszych odemnie. — To powiedziawszy biedny poganin wypił czarę i znów ciężko westchnął na myśl, że nie ma tłumy krewnych i przyjaciół którzy jedni po drugich powinni byli w ten sposób do Kirejty przemawiać. Następnie włożywszy mu do rąk czarę w której krew własną nosił Pikale, otoczył zwłoki wszystkiem co na zgłiszczach udało mu się jeszcze z własności

Kirejty wynaleźć, przyczém odganiał coś rękami niby od zwłok wykrzykując głośno:

— Zgińcie, przepadnijcie piekielne mocy!

Następnie uzbierawszy suchych dREW otoczył niemi zwłoki i podłożywszy gorejące jeszcze nakoł zarzewie spalił zwłoki i spalone ziemią przysypał nie mogąc zrobić inaczej, to jest zebrać popioły i dopiéro pochować. Tak oddawszy zwierzchnikowi ostatnią posługę wedle zwyczaju, sam powlókł się dalej, w głąb Litwy gdzie istnieli jeszcze i długo istnieć mieli kapłani i słudzy Pikały, jednego ze wspólnych bożków obu narodów, czy też odrośli jednej i tejsze samej narodowości, ale gdzie nikt już o wznowieniu rozbójniczej potęgi Jadźwingów nie marzył.

## II.

— Tak, to jest Kiernowo! — z dumą odpowiedział Litwin zapytany przez Wolfganga, wskazując wspaniałe zbiorowisko murów, które prawie nagle stanęło przed oczyma znużonych, z lasu gęstego wychodzących podróżnych.

— Niechże będzie pochwalony Bóg który dozwolił mi wypełnić rycerskie zobowiązanie! — rzekł rycerz Konrad von Richartsdorff. I złożył z ramion wraz z trzema towarzyszami swój ciężar, i wszyscy spoczęli przez chwilę.

Było to w kilka tygodni dopiéro, po wyżej opisywanych wypadkach. Nic ważniejszego nie zaszło już później w czasie długiej i uciążliwej dalszej podróży, przy końcu której, rycerz dowódzca nie spieszył się nawet umyślnie, dla jemu tylko wiadomych powodów, tém bardziej, że w zamieszkałych a spokojniejszych okolicach w pobliżu stolicy litewskiej, mniejszém już było niebezpieczeństwo. Litwin zapytany przez Wolfganga o nazwę miasta, miał słuszną odpowiedź z dumą, bo pięknym, wspaniałym i silnym grodem było Kiernowo. Na rozległej zielonej równinie którą w licznych zakrętach piękna Wilija przebiega, na tle łąk, gajów, wysepek, pagórków i strumieni rozkosznych, wznosiły się mury potężne. Na brzegu rzeki bardzo wysokim, na górze sporój, podłużnej, oddzielonej od właściwego miasta głębokimi przekopami, pannała ponad miastem i okolicą warownia silna. W jej pobliżu druga sterczała podobna czworoboczna góra, a Wolfgang bywalec i z pogaństwem obznajmiony, poznał zaraz po różnych oznakach, że ta druga góra służyła do ofiar bóstwom czynionych i do uroczystych obrzędów. Po lewej stronie, za przekopem, na trzeciej wyniosłości znów ogromne a nadewszystko silne sterczały mury, a były to mury więzienne. Miasto samo jakby strzeżone przez trzy owe góry, z dala uderzało tylko masą murów, wśród których i tak wprawne

oko mogło się domyślać szerokich ulic i wielkich rynków, na których zbierali się w potrzebie całego narodu przedstawiciele, aby książąt-wodzów swych na władców całej Litwy na tarczach podnosić, narodowym wojennym zwyczajem. Ponad tém stołeczném zbiorowiskiem, baszty i wieżycy zamkowe, zdawały się opiekuńczo rozciągać potężne ramiona. Gdzieniegdzie wystrzelający wśród murów potężny dąb, jawór, lub jodła, pojedyncze lub w kępinach, pozostałości po nieprzebytych niegdyś puszczech, całą prawie zapełniających Litwę, ożywiały i ocieniały mury martwotę.

Po chwili spoczynku i milczącego przypatrywania się z daleka, litewskiej stolicy, której podobno się wcale tak wspaniałą znaleźć nie spodziewano, rycerz Konrad von Richartsdorff rzekł:

— Bracie Wolfgangu! ty który najlepiej z nas wszystkich znasz obyczaje miejscowe i możesz się rozmówić, idź do jednego z najbliższych ztąd domków przedmiejskich i proś tam o gościnność dla strudzonych podróżnych, którzy zresztą mogą za nią dobrze zapłacić: musimy przecież odpocząć i przygotować się odpowiednio własnej naszej godności, zanim spełnimy posłannictwo nasze na książęcym dworze.

Brat Wolfgang poszedł spełnić rozkaz dowódcy, a rycerz po chwili milczenia rzekł znowu kładąc prawicę na ramieniu Hansa, który siedział strudzony i jakby nieprzytomny, szklanemi oczyma wpatrzony w przestrzeń bezmyślnie:

— Odwagi mój synu! Straciłeś krewniaka i matkę, zaledwie po sieroctwie całego życia zakosztowawszy uczuć rodzinnych, taka snadź była wola Boża; natomiast zyskałeś we mnie ojca, a wierz mi, że zyskałeś go nie z nazwy tylko, acz może w tej chwili przykro ci i żal masz w sercu do mnie za to, że opuściłem na losy matkę twą staruszkę ze zwłokami wnuka na rękach. Ale trudno było uczynić inaczej mój chłopcze! Gdy sam dostąpisz jak się tego spodziewam rycerskiego zaszczytu, wtedy dopiéro poczujesz czém dla prawego rycerza jest honor! A mnie na nieszczęście honor właśnie nakazywał przedewszystkiém dbać o tę pakę z tym instrumentem przeklętym, którego znienawidziłem serdecznie za ten żal właśnie, jaki z jego powodu masz do mnie. Bom i ja sierotą był życie całe i pierwszy raz dla ciebie serce mi ojcowskiém uczuciem zabiło, gdyś ocalił honor mój, unosząc i ocalając tę pakę z powozu, jakby w chrześcijańskim odwiecie za to, iżem przez nią ciebie i Waltera miłego tobie usiłował zabić. Jak tylko zobowiązania rycerskiego dopełnię, natychmiast, jakem ci przyrzekł, wrócimy własnymi śladami naszymi do owej leśnej w głębi puszczy osady dzikiego ludu, szukać matki twojej stariej i ma-

łego krewniaka, a potem poszukiwać będziemy księcia Łokcia, aby mu się odwdzięczyć wedle rycerskiego obowiązku, włożonego na cię przez zacną panią. Chętnie po ojcowsku podzielę z tobą ten twój obowiązek i uczynimy zeń rycerski cel dalszego naszego żywota. Bo jeżeli każda cnota piękną jest, to nad wdzięczność piękniejszej cnoty niema. Nie dręczże umartwieniem twojem własnej twój i mojej duszy, a raczej wspomnij, że nie tylko względem twój matki ale i względem mnie też synowskie masz obowiązki. Jeszcze jedną rzecz ci powiem, a to tę iżbyś prózną nadzieją o synowcu twym serca własnego nie ludził, bo z blizka patrzałem nań gdy na rękę twém zwisło owo chłopię, strzałą dziadowską przeszyte i mówię tobie że już w niem duszy nie było.

Gdy rycerz tak mówił daleko tkliwszym głosem niżby się tego po nim z pozoru można spodziewać, a Hans Richardsdorff słuchał przybranego ojca smutnie lecz pokornie, powrócił tymczasem Wolfgang z doniesieniem że gospodarz najbliższego z przedmiejskich domów chętnie podróźnych przyjmie w gościnę. Rycerz obejrzał się naokół i rzekł:

— Poczekajmy chwilę jeszcze aż zmrok cokolwiek zapadnie, aby nie widziano nędznego wejścia naszego: nie tak Konrad von Richardsdorff przywykł wstępować do twierdz i stolic do których władzców w poselstwach bywał wysyłany. Ale wola w tém Boska jak we wszystkim.

Hans mimo smutku i zgryzoty, bo nie mógł sobie darować że matki nie pogonił, uczuwał przecieź głęboko dobroć i uprzejmość przybranego ojca, przewyciężając się więc, rzekł dla tego tylko aby coś przemówić i zajęcie się ojcowemi sprawami okazać:

(D. c. n.).

## Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dokończenie).

William jednak także ustąpić nie chciał; chłopak miał siłę niepospolitą i ciągnął tak, że stawy potwornego węża trzeszczały, a cielsko zdawało się wydłużać, jak struna. Chwile mijały jedna po drugiej a położenie nie zmieniało się wcale, William czuł już znużenie w ręku, parę razy poprawiając się popuścił cugli wężowi, a ten natychmiast z tego skorzystał i wsunął się o parę centymetrów dalej w głąb skały. Śmieszna ta walka zaczynała niecierpliwie młodzieńca, nie mógł przecieź stać tak ciągle, trzymając węża za ogon, a gdyby go

tylko na chwilę z rąk wypuścił, już byłoby po nim.

Gdybyż miał przy sobie którego z towarzyszy, wzięliby się we dwóch do węża i z pewnością dali mu rady. Jedenby go trzymał, a drugi kijem okładał, i uparte stworzenie musiałoby wyleść ze swojej dziury. Na nieszczęście do obozu było daleko, William nie mógł sam dać znać o sobie, zaczął więc przemyśliwać nad innymi sposobami wyjścia z kłopotu.

Wtém nagle świetny pomysł zaświtał mu w głowie; w pobliżu stało drzewo, gdyby mu się udało uwiązać do niego ogon węża, mógłby i bez pomocy wykonać plan, o którym marzył przed chwilą, to jest poszukać porządnego kija i wylać boki upartemu przeciwnikowi. Nasz William nie miał zwyczaju namyślać się długo, zabrał się więc niezwłocznie do dzieła. W kieszeniach jego, wyładowanych najrozmaitszemi przedmiotami, znalazł się mocny sznur, bardzo stosowny do tego użytku, szło tylko o to, żeby go przytwierdzić do brze do ogona węża, a można było liczyć na to, że się nie urwie.

Chłopak usiadł na cielsku węża, jak na koniu, ścisnął ogon pomiędzy kolanami i wsunął go w mocną pętlę, urządzoną ze sznura, który następnie drugim końcem uwiązał do drzewa. Ukończywszy tę robotę, ułamał grubą gałąź i postanowił sobie tłuc bez miłosierdzia nieznośnego tchórze, póki go nie wykurzy z kryjówek. Ale zaledwie zuchwały młodzieniec uderzył raz i drugi po twardych łuskach płazu, gdy ten wyskoczył nagle i w jedném mgnieniu oka owinał go obrzydliwem swém cielskiem. William ani się spostrzegł, gdy już był skrępowany w tych straszliwych więzach i poruszyć się nie mógł. Wąż opasał go zwojami razem z drzewem i mocno go przyparł do pnia; czuł okropne dotknięcie twardych łusek, a tuż przed nim mignęła straszna głowa z rozwartą paszczą i dwójgiem błyszczących oczu, wpatrzonych w niego z okropnym wyrazem.

Położenie było straszne, ale William nie stracił głowy i odwaga go nie opuściła ani na chwilę. Podniósł gwałtownym ruchem obie ręce i chwycił węża za gardło, cisnął go z całej siły. Na szczęście ogon jego był mocno uwiązany do drzewa i w tej chwili potwór wzięty niejako we dwa ognie, nie mógł i resztą ciała poruszyć swobodnie, ani zacisnąć szczelnie zwojów, opasujących młodzieńca. Inaczey byłby go może udusił tak samo, jak biedną antylope. Kręcił się, wrywał lecz nie mógł się uwolnić z silnych rąk Williama.

Wszystko zależało teraz od wytrwałości zapasników. William nie mógł się poruszyć, bo cielsko węża owijało go po pas prawie, a wąż nie był

w stanie wszystkich sił wyteżyć, póki młodzieniec trzymał go za gardło. Trudno było przewidzieć, na czém miał się zakończyć ten straszliwy pojedynek. Dotąd siły obu walczących równoważyły się zupełnie.

Ale według wszelkiego prawdopodobieństwa siły Williama musiały się prędkiej wyczerpać, a dość było, aby mu ręce omdlały, płaz wzięłyby natychmiast górę nad nim i udusiłby bardzo prędko nieroztropnego chłopaka, który go do wściekłości doprowadził.

William, napadnięty niespodziewanie, zapomniał w pierwszej chwili o swoim nożu myśliwskim, a miał go na szczęście za pasem. Lecz spostrzegł nagle rękojeść przyciśniętą łuskami węża i z błyskawiczną szybkością wyjął nóż z pochwy. Musiał wprawdzie wypuścić z rąk szyję węża, ale zanim płaz zdołał z tego skorzystać, ostrze noża zatoneło w jego gardle i przebiło je na wylot. Wąż żył jeszcze parę minut, lecz w końcu osłabł i młodzieniec z nieopisaną radością uczuł opadające na ziemię straszliwe zwoje ciężkiego cielska potworu.

William odetchnął swobodnie, a pierwszą jego myślą było obejrzeć skórę węża, czy nie uszkodził jej zbyt mocno nóż, którym przebić musiał ten wspaniały okaz wielkiego pytona afrykańskiego.

## LI.

### M i o d o w ó d.

Gdy William powrócił do obozu i opowiedział przygodę swoją z olbrzymim węzem, wszyscy przyznali jednogłośnie, że wszystkie inne zdarzenia, jakie ich spotykały przez cały czas podróży, blade były przy tym bohaterskim czynie. Czemże były przygody Henryka z antylopą błękitną, z nosorożcem, obok tego świetnego zwycięstwa?

Każdy jednakże z naszych młodzieńców, oprócz jednego tylko Arenda, miał z tej wycieczki wspomnienia różnych myśliwskich tryumfów i wielu przebytych niebezpieczeństw. Arend nie wiózł żadnych zdobyczy, nie wydarzyła mu się też żadna nadzwyczajna przygoda, nie dla tego wszakże, aby mu zbywało na odwadze, ale usposobienie jego było odmienne, nie oddawał się polowaniu z takim zapałem, jak towarzysze, nie pragnął przygód, nie szukał niebezpieczeństw, chociaż się ich nie obawiał. Raz tylko jeden w ciągu całej podróży spotkało go niezwykle zdarzenie, koń jego spotknął się i wpadł w pułapkę, zastawioną przez krajowców na nosorożce. Była to jama dość głęboka, szczęściem jednak brakło w niej ostrego pala, jaki zwykle umieszczają dzicy w takiej pułapce i Arend wraz ze swym wierzchow-

cem wyszedł cało z tej przygody. Ponieważ był wesołego usposobienia i nie gniewał się nigdy za żarty, więc się śmiał szczerze, gdy któryś z towarzyszy wspomniał o tym wypadku wyliczając bohaterские czyny, jakimi się każdy odznaczył.

Arend wyznawał szczerze, że puszcza nie nęciła go wcale, wolałby był spędzać ten czas w salonach miejskich, w dobranym towarzystwie, miał bowiem wiele światowej oglady. Chętnie wybrał się w podróż, ale jedynie dla tego, żeby się nie rozdzielać z braćmi. Teraz zaczynał już tęsknić do domu i namawiał towarzyszy do powrotu.

Ale myśliwych naszych na zakończenie podróży czekała jeszcze jedna przygoda, w której i Arend miał wzięść czynny udział. Przygoda ta zrazu nie zapowiadała najmniejszego niebezpieczeństwa, a jednak o mało jej wszyscy życiem nie przypłacili.

Wypocząwszy dostatecznie w pięknej dolinie, podróżnicy nasi wyruszyli dalej i wkrótce dostali się na rozległą równinę, pokrytą także bogatą roślinnością. Mnóstwo tam było kwiatów jaskrawych i woniących, jaśminów, geranii, wrzosieni, ale ze wszystkich roślin najliczniej występowały mięsiste wilczomlecze, *euphorbia* dochodzące ogromnych rozmiarów. Hans rozróżniał pomiędzy nimi wiele gatunków trujących, znalazł też wśród ziół pomniejszych jadowitą amarylkę, używaną przez krajowców do zatruwania strzał. Ta łąka, tak ozdobnie ukwiecona, kryła w sobie niezmierną ilość różnych zabójczych pierwiastków. A jednak krajobraz nie wyglądał wcale ponuro, kwiaty jadowite były po większej części bardzo piękne, świetnie zabarwione, mnóstwo ptaszek świegotało wesoło wśród krzaków, a roje owadów, wysysało sok z kielichów kwiatowych, brzęcząc i migocąc skrzydełkami.

Myśliwi nasi rozłożyli obóz i zasiedli w cieniu drzew, spoglądając z przyjemnością dokoła, gdy ptaszek, siedzący na krzaku w pobliżu zwrócił ich uwagę. Mało co większy od wróbla, ptaszek ten nie odznaczał się ani piękną powierzchownością, ani wyszukany głosem. Na grzbiecie i skrzydłach miał piórka brunatno popielate, na piersiach i brzuszku jaśniejsze, a szczebiotanie jego przypominało zgłoski: *kui, kui, kui, kit*.

Młodzi myśliwi nie byliby pewnie zważali na to niepozorne stworzenie, gdyby nie to, że poznali w niem sławnego miodowoda, *cuculus indicator*. Ptaszek spostrzegł ich także i najzabawniej w świecie pokręcał ogonkiem, przeskakując z gałązki, na gałązkę i powtarzając jednostajne swoje nawoływanie. Już dawniej widywali tego ptaszka, a Hans nieraz im opowiadał o jego dziwnych obyczajach. Miodowód, obaczywszy człowieka, wskazuje mu

miejsce w lesie, gdzie pszczoły miód składają. Podlatuje ze skały na skałę, z drzewa na drzewo, aż póki nie doprowadzi podróżnika do miodu, a gdy ten wydobędzie plastry ukryte w dziupli drzewa, ptak zjada pozostałe resztki a zwłaszcza poczwarki pszczół, które po zniszczeniu ich schronienia stają się jego pastwą.

Przez czas długi opowiadania podróżników o miodowodzie uważane były za bajkę przez uczonych, fakt jednak nie ulega wątpliwości, jak się naocznie o tém przekonali młodzi nasi myśliwi.

Wiedzieli oni także od Hansa, że miodowód jest blisko spokrewniony z kukułką i tak samo jak ona składa jaja w gniazdo innych ptaków. Skóra jego jest tak gruba i twarda jak pancerz, a dobrze mu z tém bardzo, bo mając często do czynienia z pszczołami, narażony bywa na żądła tych owadów. Facetan jednak utrzymywał, że nie zawsze go to chroni od niebezpieczeństwa, widziano bowiem nieraz miodowody zakąsane na śmierć przez pszczoły, mszczące się za zniszczenie swych zapasów.

Nie dziw, że młodzieńcy świadomi tych wszystkich zajmujących szczegółów, ucieszyli się na widok ptaszka. Miód był dla nich teraz tém bardziej pożądany, że właśnie zabrakło im cukru i nie mieli czém osłodzić kawy. Wstali więc natychmiast i postanowili pójść za wskazówkami miodowoda, zabrali z sobą strzelby; wsiedli na konie i puścili się w drogę.

Dziwi was to zapewne, sądziecie, że niepotrzebnie wybierali się konno na taką wycieczkę. Ale gdy wam powiemy, że ptak ten nieraz prowadzi podróżników do miejsc oddalonych na mil kilka od ich obozu, a czasem, zamiast do dziupli pszczół, zawiedzie ich do legowiska lwa lub nosorożca, przestaniecie zapewne się dziwić i przyznacie, że młodzieńcy postąpili roztropnie.

W chwili gdy wyruszyli w ślad za ptaszkiem, spostrzegli w pobliżu osobliwsze zwierzątko. Miało nogi niskie, stąpało całą podeszwą, jak niedźwiedź z ogólnej postaci przypominało bardzo borsuka. Sierść jego była szara na grzbiecie, czarna na brzuchu, od uszu do nasady ogona ciągnęła się pręga biała, która mu właśnie nadawała owo podobieństwo do borsuka. Było jednak znacznie większe, prawie tak wielkie jak amerykański wolworen, mniejsze od rosomaka północnego, do obu jednak niezmiernie zbliżone z całej postaci. Bo też w rzeczy samej był to bliski krewniak jednego i drugiego, rosomak afrykański zwany pospolicie, miodojadem.

Myśliwi nasi znali doskonale to zwierzę, wiedzieli, że ma wielkie upodobanie do miodu i ustawicznie czatuje na pszczoły, szukając miejsc, gdzie

składają swoje zapasy. Jeśli je znajdzie w ziemi, łatwo sobie radzi, wygrzebując pazurami, które mają do tego kształt stosowny. Trudniej mu to przychodzi, gdy miód złożony jest wysoko, w dziuplach drzew, bo nie umie po drzewach łązić. Próbuje jednak jak może i Hotentoci poznają drzewa, zawierające miód w dziuplach, po śladach pazurów rosomaka na niższej części pnia.

Facetan i Kongo udzielali młodzieńcom tych ciekawych szczegółów o obyczajach rosomaka miodojada, Hans dodał, że zwierzę to znajduje się we wszystkich częściach Afryki, że ma skórę bardzo grubą która mu służy za pancerz od ukąszenia pszczół, na koniec że przykrą woń wydaje, a ztąd przezwane jest także borsukiem cuchnącym.

To jednak jest najdziwniejsze i najciekawsze w obyczajach miodojada, że rozpoznaje zdaleka głos ptaka miodowoda i przybiega natychmiast. Bo ptak nie tylko człowiekowi, ale i jemu wskazuje kryjówki pszczół, a nawet gdy prowadzi rosomaka siada zwykle na niższych gałęziach, aby go zwierzę nie stracił z oczu.

Podróżnicy nasi domyślili się zaraz, że to głos ptaka zwabił im tego towarzysza, ale zwierzę, jak tylko ich dostrzegł, zawrócił się i zemknął. Przewodnik tymczasem zaczynał się niecierpliwić, więc jeźdźcy, nie tracąc czasu, puścili się w drogę, ptaszek zatrzepotał skrzydełkami radośnie i poleciał naprzód. Co parę minut zatrzymywał się, przysiadał na gałęzi i powtarzał swoje: *kui kui ki!* z widocznym zadowoleniem, a myśliwi jechali za nim lekkim truchtem, rozmawiając wesoło.

Wkrótce ptaszek zaczął pokrzykiwać coraz częściej i coraz głośniej, ożywienie jego zapowiadało bliskość miodu. Nakoniec usiadł na drzewie i nie ruszył się z niego, nawołując nieustannie. Domyślili się młodzi myśliwi, że na tém drzewie znajdował się miód, spostrzegli też na pniu u dołu liczne ślady zębów rosomaka, który zapewne nadaremnie usiłował się na nie wgramolić.

Facetan i Kongo, którzy towarzyszyli swoim panom, rozrąbali pień drzewa, a znalazłszy plastry miodu wykurzyli pszczoły, zabrali wszystkie ich zapasy, pozostawiwszy parę plasterków dla ptaszka przewodnika, jako należną zapłatę. Przywiozłszy miód do obozu, wszyscy, nie wyłączając Zulusa i Buszmana, uraczyli się tym przysmakiem tak suto, aż uczuli trochę nudności i powstrzymali się aby nie przebrać miary.

Ale niestety! pokazało się wkrótce, że nie ilość miodu była przyczyną nudności. Jakże gorzko pożałowali młodzi nasi myśliwi, że poszli za wskazówką ptaka miodowoda; woleliby byli odstąpić słodki przysmak rosomakowi i nie dotykać go

wcale. Nim upłynęła godzina po spożyciu miodu, wszyscy zaczęli doznawać najokropniejszych cierpień. Nudności coraz silniejsze, ból pałacy w gardle i wnętrznościach, nadzwyczajny zawrót głowy, wszystko to były wyraźne znaki otrucia. Domyślili się zaraz, że miód który spożyli z taką chciwością, był zatruty. Pszczoły zbierały go na kwiatach owych jadowitych wilczomleczów i amarylek, które oglądali w pięknej dolinie.

Możecie sobie wyobrazić, jakie zamieszanie powstało w obozie. Wszyscy cierpieli jednakowo, jeden drugiemu nie mógł nieść pomocy, przyrodnik jednakże najpierwszy przyszedł trochę do siebie, wydobyl podróżną swoją apteczkę, wynalazł w niej proszki emetykowe i każdemu dał porządną dozę tego lekarstwa, które wszystkim ulgę przyniosło. Niebezpieczeństwo przeminęło ale pozostało wielkie osłabienie i biedni nasi myśliwi przez kilka dni ledwo się na nogach utrzymać mogli. Schudli strasznie i zmizernieli, a gdy przyszli do siebie, stracili zupełnie ochotę do dalszej podróży. To też jednogłośnie zapadło postanowienie, aby niezwłocznie powracać do domu.

Jeden William opierał się temu po trochu. Chciał on koniecznie dotrzeć do okolic, gdzie mógł napotkać słonie, girafy, bawoły, to polowanie było marzeniem jego od dawna, musiał jednak się zgodzić z wolą większości.

Podróż z powrotem odbyła się szczęśliwie, przez drogę młodzieńcy przyszli zupełnie do sił i zdrowia, a gdy stanęli w domu rodziców, nie znać już było na nich skutków trucizny.

Wielka była radość w obu rodzinach, gdy ujrzano powracającą gromadkę podróżników, wszyscy boerowie z okolicy zebrali się w parę dni później dla oglądania zdobyczy przywiezionych z tej myśliwskiej wyprawy, podziwiano odwagę i zręczność młodych myśliwców, winszowano im, podejmowano we wszystkich domach okolicznych, uczyły następowały po sobie raz po raz, a wszędzie bohaterowie nasi musieli opowiadać świetne swoje przygody.

### Zadanie głoskowe.

(Ułożone przez Sew. H. dla Aleks. H.)

Głsn p cłm mśc nwn

Przbl wlc pnw

P ch dzż pznć mw

Ż jd z bej krn

Dodać brakujące samogłoski, aby utworzyć wiersz, który był drukowany w Wieczorach Rodzinnych.

### Homonimy (A. Cz.).

Znaleźć wyraz mający trzy różne znaczenia:  
1) Ptak przylatujący do nas z południa. 2) Miecz króla polskiego. 3) Przyrząd do wyciągania wody ze studni.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go.

#### Niteczki Aryadny:

Coby było wśród zakresu,  
Na który ludzie rzuceni,  
Bez światła, ciepła, magnesu,  
I elektrycznych promieni?

\* \* \*

Coby było? zgadnąć łatwo!  
Ciemno, zimno, chaos czyste.  
Witaj więc, słoneczna dziatwo,  
Wiwat światło promieniste!

(Toasty Mickiewicza).

#### Szarady:

Ma — tyl — da.

### Odpowiedzi od Redakcyi.

Jerzemu K. w Woli. Rozwiązanie niteczki bardzo dobre; cieszy nas też niewymownie, że polski nasz Tezeusz, natchniony prawdziwie rycerskiem uczuciem, nie porzuciłby okrutnie Aryadny na wyspie Naxos, lecz odwiózłby biedaczkę do Woli, gdzie wyobrażamy sobie z jaką wdzięcznością powitanąby została przez jego rodzinę!

Julii P. w Jekaterynosławiu. Za podarek a nadewszystko za miłą nam pamięć dziękujemy nowej naszej korespondentce. Piosnka umieszczoną została później, z przyczyny że wpięrk brakło na nią miejsca. Cieszymy się że kochanym paniąkom tak pięknie idą nauki i podzielamy zupełnie zdanie ich ojca o muzyce. Piosenki przysłane wpięrk odebraliśmy i dziękujemy za nie. Z prawdziwą przyjemnością czytaliśmy pochwały Wieczorów w tak ładnie napisanym liściku.

Maryi Cha... w Grodnie. Zasmuciła nas wiadomość o chorobie i cieszymy się że przeminęła szczęśliwie. Radzi jesteśmy bardzo że Wieczory podobają się młodszemu siostrzyczkom równie jak i starszym, bo mamy zawsze na myśli jedne i drugie. Łamigłówek dobrze odgadnięta.

Wł. i Ka. Raf... w Troickosawsku. Dziękujemy za oba listy, za łamigłówek i monogram, tém więcej że ból oczu nad którym bardzo ubolewamy pisać nie pozwala. Jakże ciekawi jesteśmy opisu pobytu u owych wód gdzie jest tyle niedźwiedzi. Dobrze że polować na nie nie pozwolą choć jest ochota, bo byłibyśmy bardzo niespokojni o naszego kochanego korespondenta.